ROZMAITOŚCI.

Dnia 18 lipca, N^er^ 29. roku 1846.

O gramatyce J. N. Deszkiewicza.

Szanowny Redaktorze!

»Z przyjemnością czytałem nieraz w piśmie W. P. D. różne uwagi nad przyrodą języka naszego. — Rozsiane tu i owdzie po numerach całego roku, mają one osobny swój urok. — To ośmieliło mię przesłać W. P. D. niniejsze uwagi moje nad świeżo wydaną grammatyką J. N. Deszkiewicza, w nadziei, że je W. P. D. umieścisz w pismie swojem dla odmiany tonu, jeźli treścią swoją temu celowi mogą odpowiedzieć. Uprzedzam W. P. D., że one nie są bynajmniej rozbiorem szczegółowym dzieła, lecz właściwie ocenieniem stanowiska, z którego autor na język nasz zapatruje się.

Przyjm W. P. D. wyrazy winnego szacunku itd.»

Stanisław Pilat.

* * *

Mowa jest pewnym objawem ducha; język w szczególności pewnym objawem ducha narodowego. Obojgo jest zjawiskiem osobnem w tym świecie zjawisk, i mają się do siebie, jak ogół do szczegółu; w obojgu więc, jak w każdem zjawisku należy upatrywać istoty wewnętrznej i formy zewnętrznej. Istotą języka jest zbiór wszystkich wyrazów, które go składają i tworzą jedną rodzimą całość; formą jego są wszystkie odmiany, którym te wyrazy kiedykolwiek ulegały, i dotąd, na wyrażenie jakiej myśli, ulegają. Istota języka, co do rodzimości swojej, jest póty nieodmienna, póki naród nie zmieszał się z innym narodem (np. Gallowie i Franki). Wyraz „mąż” jakimkolwiek zmianom ulegał tak w polskim języku jak i w pobratymczych, nigdy niezamienił się na wyraz całkowicie inny, na oznaczenie tej samej rzeczy. Po zmieszaniu się narodu z innym, język wyrabia się znowu na samoistny, odpowiedni zlewkowi obojga narodów.

Istota języka zapełnia treść swoją w miarę postępu myśli. Zakres mowy dziecka, młodzieńca i męża, rozszerza swe granice według wzrostu wiedzy; u narodu dzieje się to podobnym sposobem, a w szczególności za troistym wpływem: 1) albo wpływ zagraniczny z nową myślą wniósł nowe miano (np. taktyka), lub stare wyrugował, a swojem zastąpił (świecznik, lichtarz); 2) albo ziomkowie różnych okolic jednej ojczyzny, według różnicy wyobrażeń o rzeczy, lub według miejscowego pojmowania zgodności wyrazu z rzeczą, dla jednej rzeczy więcej mian utworzyli (np. powiatowszczyzny: odra, kur; wiory, trzaski, drzazgi; tok, boisko, klepisko; kurhan, mogiła); 3) albo nareszcie postęp wiedzy śród ziomków nowe spowodował wyrazy na pomysły nowe; gdyż albo w dawniejszych zasobach języka wyrazu nań całkiem niema (deszczochron, cieplik, silnia, wstawa, dostawa, sieczna, styczna, prostokąt, pogląd, bezwzględność, możebność), lub dawniejszy wyraz niewystarczy odcieniom świeżo odkrytym w rzeczy, i prowadzi na mylne wyobrażenie (np. stanie, dziś zawieszenie broni; łapaczka, sofizma, dziś mylnik u Trentowskiego); lub nakoniec dawne miano straciło z podobieństwem pierwotne znaczenie, i dziś co innego wyraża (np. potrzeba, dziś bitwa, wyprawa; zagony tatarskie, za oddziały wojsk tatarskich; dziś zagony tylko na polu ornem). W tychto razach dawne miano jak liść przeszłoletni odpada od drzewa swego, a pismiennictwo zaciąga je w poczet zdawniałych (*obsoleta*) których każdy język dość naliczyć może. Bywają czasy nieprzyjazne uprawie języka narodowego, spowodowane nieszczęsnemi kolejami społecznego życia, lub upadkiem rodzimej oświaty; wtedy i zdrowe jeszcze liście od drzewa rodzimego odpada i w niepamięci ginie, a na miejscu jego mnogie pasożyty obcego nasienia wzrastają; wszakże te chwilowe, narodowe lub koterijne skażenia języka, jak chwilowe choroby ciała lub umysłu, mogą być uleczone, a pokolenia następne, częstokroć nawet spółczesne, tę troskę na siebie biorą. Dwa ostatnie wpływy, to jest, powiatowszczyzna we wszystkich warstwach narodowego składu, i nowotwory, są, obok dawniejszych zabytków językowych (jeżeli te swoją czerstwość przechowały) głównemi źródłami postępu językowego. Wpływ pierwszy, to jest, obczyzna, jest wprawdzie zawsze

pasożytnej przyrody; wszelako przez czas i używanie, których tu siła niepospolita, nabywa prawa goszczenia u nas póty, póki albo dalszy postęp języka wyrazem swojskim jej niezastąpi, (oryginał, pierwotwór; katakomby, podziemia; kultura, oświata, uprawa), albo używanie powszechne i pismiennictwo krajowe nieuświęci (chemia, logika, filozofia). Panowie puryści skrzywią się zapewne na to; my w odpowiedzi prosimy ich najprzód o wyrugowanie wyrazów zagranicznych, nam przekazanych przez wiek złoty zygmuntowski (jarmark, turnieje); powtóre o przyczynę, dlaczego nam niesłuży owe prawo, które służyło ówczesnym pisarzom? (mańtwo, jurgielt, blanki, kantar, peregrynacia, rajtarze), zwłaszcza, że my go z największą oględnością i w ostatniej tylko potrzebie użyć chcemy. Wiek zygmuntowski nazwany jest słusznie wiekiem złotym pismiennictwa naszego; nienależy go jednakże w takiem brać rozumieniu, jak wiek złoty Cycerona, Horacego, Wirgilego, Liwiusza itd., od końca drugiej wojny punickiej, aż do końca panowania Augusta. Język martwy ma bez wątpienia z wieków, które przeżył, jeden, w którym najpiękniej zajaśniał, a ten będzie bezwzględnie jego wiekiem złotym; bo już później lepszych niebyło i niebędzie. Język żyjący może mieć względny tylko wiek złoty, to jest w odniesieniu do mniej świetnych; lecz niemoże sam stanąć szczytem budowy języka, jeśli naród żyć nieprzestał, lub z obcemi pierwiastkami w inną całość niestopił się. Idzie więc zatem, że kiedyś przyjdzie wiek nowy języka, który wyżej stanie, jako odpowiedni wyższemu umysłowemu życiu własnego narodu; który dla nowej myśli nową musi utworzyć szatę, przestarzałe i nieodpowiadające lepszym pojęciom wyrazy zarzuci, a w powiatowszczyznie, we własnych tworach, w pobratymstwie, lub w najgorszym razie, w obczyznie nowych zaciągów poszukiwać będzie. Wiek zygmuntowski, co do treści języka, jest nam o tyle czystą i zdrową krynicą, o ile treść ta umysłowemu życiu naszego wieku odpowiada.

Formą języka nazwaliśmy wszelkie odmiany którym język kiedykolwiek ulegał, i dziś ulega; śmiało nawet dodać możemy: i na przyszłość ulegać będzie. Odmiany te stanowią właściwą stronę grammatyczną języka, jego mechanizm; jako to: sposoby spadkowania, stopniowania, czasowania, składnia zgody, rządu, szyku, iloczas, pisownia i t. p. Jak życie narodowe w swojej istocie (w pojęciu oderwanem) zawsze jest życiem, w pojawie zaś przez wieki i lata jest życiem zmiennem, różnobarwnem; tak język w istocie swojej jest zawsze jednym, w pojawie zaś przez wieki i lata jest symbolicznem odbiciem swego czasu i własnego kształcenia się w czasie, a jako zbiór głosów służących ku wyrażeniu myśli, jest on oraz symbolicznem odbiciem czasowych pojęć o harmonii wyrazów z sobą, w ich spoju, w ich odmianach. Język modlitwy pańskiej, pieśni bogarodzicy, język Opalińskiego, Reja, Wujka, Skargi, Krasickiego, Niemcewicza, Śniadeckiego, Mickiewicza... zawsze jest językiem polskim, ale w różnych kształtach, których różnica zależy od tego, cośmy wyżej formą języka nazwali. Rzecz jasna, że te formy wyrabia czas i społeczność czasowa; poczęści stosownie do narodowego lub miejscowego pojmowania harmonii wyrazów z sobą; poczęści stosownie do czasowych wyobrażeń o zgodności i dźwięczności w ogóle. Jedno i drugie dzieje się najczęściej bez świadomości spółczesnych pokoleń.

Widzimy więc, że niezawsze przypadek lub skażenie języka na zmianę form jego działa; lecz albo jakiś bezświadomy instynktowy popęd pokoleń różnoczesnych przyczynia się do zbliżenia głosu do myśli, albo rozmyślna uprawa języka ku nadaniu onemuż lepszego, bardziej uproszczonego, a gdzie potrzeba, więcej odcieniowego brzmienia. Taką dążność np., i teraz postrzegamy w odrzuceniu *é* ścisnionego w mowie potocznej w bardzo wielu wyrazach, jako to: 1) przed *ć* w trybie bezokolicznym (chcieć, mieć); 2) w zakończeniach na *erz* (kuśnierz, talerz, rycerz); 3) przed *j* (dalej, piękniej, dzielniejszy, silniejszy); 4) w wielkiej liczbie rzeczowników słów i przymiotników (papież, spiew, chmiel, szeroki, umierać, wylew, grzech); 5) w liczbie mnogiej przymiotników w znaczeniu nieosobowem (dobremi końmi; drogiemi szaty). Lubo pismiennictwo nieuświęciło jeszcze tych form, jednak w gazecie warszawskiej, w pismach wileńskich, w nakładach lipskich i w dzienniku mód paryskich we Lwowie wychodzącym widzimy tego przykłady, i my je tylko jako dowody zmienności form przytaczamy; wszelako nie wahamy się wyznać, że w nich więcej „rozumowstwa" przegląda, niż w zaprowadzeniu ścisnionego *é* na nijaki rodzaj przymiotników przez p. Deszkiewicza (np. dobré dziecię, wielkié okno) gdzie ścisnione *é* albo traci znaczenie głosu pośredniego między *e* i *y* (bo je dziś nikt tak nie wymawia), albo naprowadzi myśl na męski rodzaj rzeczownika, przed którym przymiotnik stoi, gdy ścisnione *é* będziemy jak głos pośredni między *e* i *y*, wymawiali. Jeżeli należy mieć za pewną cechę doskonałości języka, jego łatwość brzmień i zgodność, jako też różnicę brzmień według różnicy wyobrażeń spokrewnionych; wtedy stosownie do wyżej wspomnionej dążności, łatwiej i zgodniej dźwięczy *i* przy *e*, niż przy *é=y* (chcieć, mieć); zgodniej spływa *e* na *r*, niż *é=y* na *r* (talerz) a tym bardziej na *j* (wiejski, gdzieby brzmienie przeszło na wiyski), toż samo brzmienia: piękniej, gładziej, przeszłyby na piękniyj, gładziyj. Już w brzmieniu czujemy niejako różnicę wyobrażeń nieosobowych, wyrazów odosobowych, gdy kto mówi: „dobremi końmi z dobrymi przyjaciołmi"; co-

by się zatarło, gdyby wymawiano jak dotąd: „dobrémi końmi.” Przeciwnie, nikt nie mówi dziś, według wprowadzonej przez pana Deszkiewicza formy: „dobré dziecko — dobry dziecko”; jeszcze tylko tępszy słuch gminu w dostrzeganiu różnicy brzmień znosi się z tą formą, lub z nieuwagi z męskiem brzmieniem mąci. Różnica brzmień według różnicy wyobrażeń i ich odcieniów główną jest cechą doskonałości języka; ztąd i niższość francuskiego: (*moi* ja, *mois* miesiąc; *lit* łóżko, *lie* osad, męty; *fin* koniec, *fin* przebiegły, *feint* zmyślony, *faim* głód). I Francuzi, gdzie mogą, to wymową, to pisownią, to znamionami pomagają sobie.

Obaczmy teraz jak p. Deszkiewicz język i postęp jego pojmuje. Powiada on: 1) że „grammatykarz” powinien język w książkach starych, i dotąd w ustach najliczniejszego stanu (ludu wiejskiego) zawarty, z wszystkiemi jego doskonałościami i ozdobami wystawić; 2) że język „musie” dalej postępować, że dzisiejszy a tymbardziej dawniejszy na potrzeby terazniejsze wykształconego umysłu niewystarcza; 3) „że my w umysłowej krainie nie dalej zaszli od naszych przodków (?!) i że ich język nie jest za ubogi »dla” wyrażenia dzisiejszych myśli głębokich;” 4) że „mniemany” krok dzisiejszy do kształcenia i doskonalenia języka uważa za krok wsteczny raka, i „samo' to mniemanie za skutek choroby nazwanej rakiem;” 5) przestrzega naród że mając czystej pięknej i dostatecznej wody źródło, w nieopatrzliwej myśli trzy inne, deszczowe, błotniste, i żelazem przesycone, w jedno łączy, a ztąd trucizną się napoi itd.

Odpowiadamy na pierwsze: jakim sposobem przekona nas autor, że mowa istniejąca w ustach ludu jest zupełnie tą samą, co była w wieku złotym? Liczba podwójna, której formę lud przechował, straciła u ludu znaczenie dwoistości — „Zkąd idziecie ludzie?” pyta ktoś — „Chodziliśwa na kośbę w równie” odpowiada więcej niż stu kosarzy. Otóż forma tylko pozostała; znaczenie zaginęło. Nawet i tę formę dziś liczba mnoga z używania w wielu miejscach wytrąca. Również, co do treści językowej, lud niemówi: gędźba, ale muzyka; nie tycz, ale tyka; nie obiednia, ale msza święta; nie mir, ale pokój; nie wełny, ale fale; nie chrzept, ale grzbiet; nie kień, ale kloc; nie korab, ale łódź; nie potrzask, ale samotrzask; nie sprząg, ale uprząż; nie wnitek ale sidła; nie zdrowiec, ale tabaka; nie podpiętki, ale obcasy; nie zamkarz albo zamecznik, lecz slusarz itd. Autor zdaje się zapominać także, że język ludu jest językiem najniższej warstwy duchowego życia, najciaśniejszych granic cielesnego; że zakres wyobrażeń w prostym stosunku stoi do zakresu mowy; że zatem oświata nie z łona pospólstwa przodem idzie; więc i język ludu nie może przodkować, ale lud ze swego miejsca swoje ziarnko do uprawy mowy ojczystej dorzucić winien. Myli się pan D. twierdząc, że lud przy wieku Zygmuntów z mową swoją pozostał. Zapewne dziś nikt z wieśniaków nie powie: „zginął prze ojczyznę” jak wieszcz Czarnolesia; lecz „za ojczyznę.” Atoli i czynnie, w sposobie swoim przyczynia się lud do uprawy języka, nie tylko biernie za popędem z góry. Pytałem raz wieśniaka który na nowy rok zrana przyniósł mi list z sąsiedztwa: „jakże tam dziś na świecie?” — „Ogłosiło się bardzo” odpowiedział, wskazując niby tem, że mróz jest wielki (wiadomo jest, że po wymarznięciu pary w powietrzu, która w kształcie szronu spada, powietrze staje się czystsze i sposobniejsze do fal głosowych). Że w kształceniu i tworzeniu języka lud idzie za wrażeniem otrzymanem przez zmysły, lub za przesądem, dowodzą liczne przykłady: tak np. mówi wieśniak o wschodzie letnim i o wschodzie zimowym, wskazując tem czas do pracy, lub miejsce wschodu słońca..., o zamówionej febrze, o urzeczonem dziecku. Są to utwory czysto ludowe, których się w żadnym pisarzu złotego wieku niedoczytasz. Nakoniec winien nam autor wskazać, któraто okolica czystym zygmuntowskim językiem mówi; bo porównywając mowę ludu różnych okolic np. około Rzeszowa, Krakowa, Kielec, Kalisza, na Mazowszu, w Poznańskiem itp., różnicę tak co do treści językowej (wyrazów) jak co do formy (odmian) znajdujemy. —„Kaj idzieta kumie?” mówi wieśniak z Kieleckiego. „Gdzie idzieta?” mówią około Tarnowa. „Bardzok” (bardzo) mówią w Sanockiem; „barz” mówią Podhalanie; „zdun” mówią w Poznańskiem; „gancarz” w Krakowskiem itp.

Co do drugiego i trzeciego: Nierozumiemy tych zdań sprzecznych z sobą: »język musi postępować; dzisiejszy a tymbardziej dawniejszy nie wystarcza na potrzeby terazniejsze umysłu wykształconego;” a nieco niżej: »w umysłowej krainie niedalej zaszliśmy od naszych przodków.” — Jezli postęp języka jest konieczny, dla czegoż nam autor narzuca formy zdawniałe? dla czego wreszcie sam niektóre z nich zarzuca (w uściech, zamiast w ustach; obacz także stron. 61.—4), chociaż oparte są na powadze Skargi? dla czego przytacza nam wzory do używania zdawniałe (dworzanka, epigramat), które dzisiejszemu pojmowaniu rzeczy nie odpowiadają? Czyliż nam nie wolno nasze nowe wyobrażenie o tejże rzeczy nową odziać szatą? Wszak to samo prawo służy poźniejszemu wiekowi, (którego przecież na nowe słowo stać!) względem złotego, które złotemu służyło względem jego poprzedników! Niechaj nam p. D. choć jeden język europejski wskaże, w którym postęp inną drogą idzie! Obaczmy tylko słowniki zagraniczne np. francuzkie, równie też i grammatyki, jakie tam niezliczone zastępy pod napisem: *liste de néologismes!* Język Woltera, Rus-

sa, Bossueta, pani Sevigné, niegdyś świetny, w obec języka dzisiejszych pisarzy nadsekwańskich przygasł; ostatni bowiem, co do treści, obfitszy i wielostronnością uderzający, co do formy, z wielu stron uproszczony i zmieniony, lubo mu w tym względzie wiele jeszcze pozostaje. Jeżeli język dzisiejszy, a tymbardziej dawniejszy, na potrzeby teraźniejsze umysłu wykształconego niewystarcza, czy podobna, żebyśmy w umysłowej krainie dalej niepostąpili, jak nasi przodkowie? zkądże nam to poznanie ubóstwa naszego dzisiejszego języka? Niewiemy, czy autor w natchnieniu grammatycznem tej wiadomości nam udziela, czyli też może tak głęboko pornął w wiek zygmuntowski, iż zapomniał, co poźniejsze fale życia własnej jego ojczyznie przyniosły, i codzień przynoszą. Nie myślimy w obronie oświaty ojczystej występować przeciw autorowi, i może być pewny, że ona tej obrony niepotrzebuje; to tylko niech autor pozwoli nam powiedzieć, że sam, co do wiedzy swojej (tylko nie grammatycznej) wyżej stoi, niż wszyscy zygmuntowscy pisarze, my zaś dalecy od przypisywania złej woli „grammatykarzowi" weźmiemy tę sprzeczność zdań jego za przypadkową logiczną pomyłkę. *Et Homerus dormitat.*

Co do czwartego: p. Deszkiewicz mówi, że mniemany krok dzisiejszy do kształcenia języka jest krokiem raka, a samo to mniemanie ma za skutek choroby nazwanej rakiem. Dziwną jest rzeczą, że zwykle do nowych wynalazków prowadzą przypadki. Sławnego Newtona naprowadziło spadające jabłko na pomysł o powszechnem ciężeniu ciał; Galilei z przypadkowego kołysania się lampy kościelnej, wpadł na myśl, którą poźniej jako teoryą wahadeł wypracował; pan Deszkiewicz z mylnej (jak sądzi) uprawy języka narodowego wykrył, że ci, co mniemają, iż ona jest prawdziwą języka uprawą, kiedyś musieli na raka chorować. Niech wybaczy szanowny autor, że na ten wniosek wpadliśmy; takiej nas uczy grammatyki, w powyższych dwóch zdaniach, że z nich innych wniosków wytoczyć niepodobna. Dla przekonania o tem „rozumowstwie" prosimy szanownych czytelników zajrzeć w przedmowę stron. IV. Sądziliśmy z razu, że autor miał w myśli wsteczne dążenia w uprawie języka; ależ te więcej mają podobieństwa z rakiem zwierzęciem, niż z rakiem chorobą, która owszem naprzód kroczy, zarażając coraz więcej części zdrowych. Nie można było zresztą przypuścić, że autor wsteczne kroki drugim wyrzuca, gdy sam chce język cofnąć o trzy wieki nazad. Ot, może to jedna z przypadkowych logicznych pomyłek, z któremi często witaliśmy się czytając grammatykę. Z tych pomyłek jednej tylko w niniejszych uwagach hołd złożymy, boć jak gospodarz uprzejmy we wrotach domu gości wita, tak ona na czele grammatyki stoi. Poczciwy Knapski zapisał tam gdzieś przysłowie: „jaki Pan, taki kram"; otoż oddając cześć gospodarzowi domu, cały dom ma się w pewnem poważaniu. Mówimy tu o orzeczeniu grammatyki. Już stara Arystotelesa szkoła powiedziała: „*genus proximum et differentia ultima in definitione esto.*" Wiemy, że grammatyka rodzajem najbliższym, należy do nauk; różnicą zaś ostatnią (wyczerpaną) jest w niej to wszystko, co naukę języka od wszelkich innych nauk odróżnia. Czyliż pisownia i prawidła iloczasu nie są także owemi wybitnemi cechami odróżniającemi grammatykę od innych nauk? dla czego je autor jako dodatek uważa? Czy ten umie język według zasad grammatycznych, kto nie umie pisowni i nie zna iloczasu. Jakoż te dwa przedmioty autor w dziele swojem bardzo lekce ważył, i prześliznął się koło nich jakby na łyżwach po lodzie. Uderzającą jest np. płytkość pojmowania znaków pisarskich. Pan D. nie daje im bynajmniej za podstawę wyjaśnienia myśli w jej zawisłości od drugiej t. j. w jej przyczynach, skutkach, następstwach, przeciwstawieniach, objaśnieniach; jemu chodzi tylko o miarę przestankową dla głosu. Takie też jest użycie znaków pisarskich w całem dziele jego!

Co do piątego: Co autor rozumiał przez owe trzy źródła, deszczowe, błotniste i żelazem przesycone, nie wiemy; autor nieraczył ich objaśnić, i zapewne trudnoby mu było samemu dziś dać objaśnienie tychże. Atoli lęka się, byśmy się niepotruli; a więc zobaczmy jakie wynalazł *antidotum* przeciw tej truciznie, i czy istotnie środek jego tak jest skutecznym jak go zachwala. Jakże nas przekona pan D. że formy, które on, w brew powadze Wujka, najznakomitszego pisarza 16go wieku, wprowadza, piękniejsze są, niż te, których dziś używamy; np. musié, zamiast musi; widzié zamiast widzi; musiemy zamiast musimy; prosiemy zamiast prosimy; sstał się, zamiast stał się; dobré za dobre itp.; lub że wyrazy następujące piękniej i lepiej oznaczają rzecz, jak te co dziś w używanie weszły; np.: przedniczka, za fartuszek; drab, za lokaj lub pokojowy; podwodziarz za pocztmistrz; łga za kłamstwo; kuczka za altana; dworzanka za napis lub ucinek; hruba za piec; duha za tęcza; powiewaczka za wachlarz; przystawka za salaterka; łapaczki za mylnik; pytki za tortury; zołzy za szkrofuły; warzelnia za kuchnia; nocnica za lunatyczka; czernidło za atrament itd. Nieprzeczymy, że wiele jest wyrazów w mowie naszej, co mylnie lub niedokładnie rzecz przedstawiają; np. szewc, nie dlatego że szyje, bo toż czyni i krawiec: lub krawiec, nie dlatego że kraje, bo toż czyni i szewc — i język nasz te wyrazy chowa. A dlaczego? Dlatego że używanie powszechne uświęciło je w chwili, gdy niebyło lepszych. Na próżno kusilibyśmy się dziś wprowadzić gwałtem miana: szatnik, obuwnik, może lepsze; lecz tamte są w używaniu powszechnem i są również pierwiastku swoj-

skiego. Tylko czas i używanie zaniedbane pierwszych mogłyby tego dokazać. Przeciwnie »łapaczka« niegdyś dobre, dziś niesie z sobą wyobrażenie narzędzia, lub przystrój do łapania czegoś np. myszy, lisów, jak łapka, bo z tem brzmieniem jest spokrewnione; zołzy przypominają konia; kuczka inne zwierzęta. Prawda, że w tych wyrazach brzmi pierwiastek rodzimy; ależ myśl już prześcignęła znaczenie pierwiastku, a pokrewieństwo brzmienia naprowadza na mylne wyobrażenia, i tak w podwodzie nikt dziś nie widzi poczty, albo w podwodziarzu pocztmistrza, lecz w pierwszej furę chłopską, w drugim coś podobnego. Nie wielką też przysługę językowi uczyni autor, jeżli zamiast form prostszych i lepiej brzmiących, wprowadzi mniej dźwięczne, przykre nawet dla ucha, które życie pospolite i pismiennictwo zarzuciło, jakoto: dwomadziestoma zamiast dwudziestu; czteremistami lub czteremisty lub też cztermisty, trzeminaście za trzynastu, pięcinaście za pietnastu; pięćnaście za pietnaście itd. Powtarzamy tu zdanie nasze: że język zygmuntowski o tyle nam jest co do treści swojej (co do wyrazów samych) czystą krynicą, o ile ta wyobrażenia dzisiejsze o rzeczy i jej odcienia wyraża; nigdy zaś co do form, jeżli te przestarzały, zamarły, i dzisiejszym pojęciom o dźwięczności nieodpowiadają. W doskonaleniu kształtów językowych (nie w ich mnożeniu), tudzież w tworzeniu i zastosowaniu należytem treści (wyrazów) zawarte jest życie języka. Wstrzymywać język na tem samem stanowisku, lub, jak autor chce, zawrócić go o trzy wieki wstecz, jest zaiste nienaturalną, niepotrzebną nawet rzeczą; jest tem samem, co w teraźniejszych rzeczach smaku kształty zwane *rococo*, które świadczą bardziej o ubóstwie estetycznej myśli w naszym wieku i o braku samodzielności, niż o zdrowem pojęciu piękna. Jakoż z tych chwilowych chorób już i smak się powoli otrząsać zaczyna.

Naostatek zaletą byłoby grammatyki p. Deszkiewicza wyszukanie znacznej liczby wyrazów, dziś już nieużywanych, które jednakże niestraciły barwy żywotnej, i mogą być użyte. Sądzimy, że każdy przyszły grammatyk, idąc za przykładem p. D. będzie wznawiał dawniejsze zasoby języka, o ile te warunkom postępu jego są odpowiedne, wskaże ich użycie, i nowe wyrazy, o ile go na nie stać, przedłoży, tak na oznaczenie nowych pomysłów, jak na wyrugowanie obczyzny, której prawo goszczenia u nas póty służy, póki niepowstał nowy wyraz, dobrze ją zastąpić mogący; nie tej jednak obczyzny, która już polskim krojem i kształtem odziała się (lichtarz, rynsztunek, kryształ, zegar, szabla, kocz, kształt itp.); lub tej, którą czas i używanie w język rodzimy wcieliły (moda, dach, jarmark, publiczny, prywatny itd.); nie tej nakoniec która w wyrazie daje nam poniekąd oraz historię rzeczy nazwanej np. drukarnia, dagerotyp, najtyczanka, kawa, cybuch, muzyka, harmonia itd. Atoli pan D. i w tem chwalebnem usiłowaniu niezadowolnił nas zupełnie; należało bowiem przy wyrazach czerpanych ze źródeł, napomknąć o źródle, a ta konieczność ztąd wynika, że autor nowe przez siebie utworzone wyrazy obok dawnych przytacza, które nie wszędzie szczęśliwie kształtuje. I tak wyrazy: nasuwień (surdut), szczególniec lub osobnik (individuum), powiernik (*commis*), oddeszczne (*parapluie*), patrznia (znak przy pomiarach ziemi używany), przewabiacz (kompilator), przeglądacz (rewizor), zamkarz albo kluczownik (slusarz), udawacz (aktor) itp. nie noszą piętna dobrego kształtowania, i mają tę samą wartość, co prawdoświecie, prawdobłamy, bożyńce, maćki i bartki p. Trentowskiego. W tworzeniu słów nowych, szczególniej pochodników, niedość jest zachować pierwiastek rodzimy w brzmieniu, ale nadto potrzeba mieć wzgląd na analogią z brzmieniami spokrewnionemi, a mianowicie w przedgłoskach i końcówkach. P. D nie zajrzał głębiej w znaczenie tych ostatnich, a widziałby, że oddeszczne, jak poradlne, wstępne, oduzdne, równie jak mostowe, drogowe, mają znaczenie należytości prawnej lub zwyczajowej. Jakaż niebaczność na analogią końcowek w nazwaniu »gruszkownią« miejsce, gdzie się gruszki składają, a »książkownią« drukarnią; jakaż znowu słaba różnica w pierwiastkowem brzmieniu i w znaczeniu końcówek wyrazów; »książkownia i księgarnia« — co za prawidłowość dziwna w utworzeniu słowa grammatykarz! czy przez dodanie końcówki arz wyraz więcej jest polskim? wszakże ta końcówka jak yk (*icus, grammaticus*) przeszła do nas w skróceniu z łaciny (*icus, arius*); więc przez złożenie dwóch obcych zakończeń wyraz ma być lepszym jak z jednem? Zaiste nie widziałby zysku żadnego łacinnik w wyrazie *grammaticarius*, bo jest tak zwany *barbarismus*. Niech więc wybaczy pan grammatykarz, że jeżeli obcy wyraz przyswoić nam trzeba, wolimy lepszy niż gorszy.

Takie zdanie nasze o stanowisku, z ktorego pan Deszkiewicz na język polski zapatruje się. Nie podajemy je, jako sąd z góry; lecz jako zdanie prywatne, i prosimy, by je autor za takie uważał; albowiem wyrok ani do nas, ani do szanownego autora, lecz do publiczności należy.

Książę de Conti.

Pewnego wieczora lipcowego w r. 1697m siedział Ludwik XIV na kilka chwil przed wieczerzą obok margrabiny Maintenon w jej pokoju. Król zdawał się być stroskanym, margrabina chciała się okazać obojętną, a przecież rozmawiali oboje z widocznem zajęciem.

„Przyjmę oświadczenie Polaków;” — rzekł król — »wszyscy książęta krwi królewskiéj będą mi wdzięczni za to. Zresztą nie mogę pojąć, jakbym sobie inaczej w tym razie mógł postąpić, nie chcąc być niesprawiedliwym, a tego zarzutu nie życzyłbym sobie za nic w świecie.”

»Ale czyż się *sire* nie lękasz, aby ztąd zbytnie uroszczenia nie powstały? Nie obawiasz-że się zazdrości, jaką cała rodzina twoja z powodu tego wyniesienia jednego z jej młodszych członków uczuje?”

„Tron polski nie jest tak wielkiem szczęściem, aby mu cała moja rodzina zazdrościć miała.”

„Pozwalam to *sire;* ale przecież słyszałam od pana de Chartrain, iż mamy w Polsce wiele głosów przeciwko sobie, a gdybyś wasza król. mość wdał się w tę sprawę, mogłaby ona niepomyślny dla nas wziąć obrot.”

»Ach, mój Boże, wiem ja lepiéj niż Chartrain jak rzeczy stoją, a jeźli pozwolę na wyjazd księcia Conti, tedy stanie się to nie pierwej, aż wszystkie skutki tego kroku należycie rozważę; i w istocie też w niemałym jestem kłopocie.”

»Chciałam tu tylko moję obawę wynurzyć. Któż odgadnie, co się w łonie przyszłości kryje. Być może iż wielkie zdolności księcia Conti zjednają mu serca Polaków i odniosą zwycięztwo nad elektorem Saskim. I w saméj rzeczy, spodziewam się tego. Na każdy zaś wypadek, wspomnisz wasza król. mość moje uwagi i będziesz mi wdzięcznym za nie.”

„Uznaję ich wartość, moja kochana margrabino, i zastanowię się nad niémi. Czy pan de Maine nie był dziś u nas? Radbym go chętnie w téj okoliczności o radę zapytał. Co do *monseigneur*'a, ten kocha zanadto swego kuzyna Conti, aby nie miał zezwolić na jego wyniesienie. Mimo to jednak, traci on w nim przyjaciela młodości, a dla przyszłego króla jestto nader bolesna strata.”

»Ależ nie myślimy wcale o tém, jak sam książę Conti to mianowanie go królem przyjmie. Nie starał on się o to, i nie wié jeszcze nic o zaszczycie, jakim Polacy go obdarzyli; dzisiejsze położenie jego podoba mu się bez wątpienia, i łatwo być może, iż woli pozostać książęciem francuzkim niż osiąść na tronie Polskim.”

Tu król i margrabina z ironijnym uśmiéchem wzajem na siebie spojrzeli.

„Książę Conti będzie zapewne gotów przyjąć koronę Polską i nie da się długo o to prosić;” odrzekł król. „Lecz oto nadchodzi godzina, w któréj książęta zwykle mię odwidzają. Dziękuję pani za jej rady i chętnie z nich będę korzystać.” —

Rodzina Ludwika XIVgo, która wkrótce do tego stopnia wyniszczeć miała, iż tylko jeden zgrzybiały starzec i małe słabowite dziécię z niej pozostały, była wówczas najliczniejszą ze wszystkich w Europie rodzin królewskich, które jéj niemało tego szczęścia zazdrościły.

Należeli do niej, najprzód *monsieur*, brat króla i wdowiec po ulubionéj Henryjecie Angielskiéj, zaślubiony później z Karoliną pfalcgrabiną Bawarską której dziwaczny charakter dziejopisowie ówcześni tak trafnie nam skréślili.

Następnie *monseigneur*, syn Ludwika XIVgo, delfin Francyi, ze swymi trzema synami, książętami Burgundzkim, Andegaweńskim i de Berri.

W trzeciej linii książę Chartres, syn księcia Orleańskiego, który później został rejentem Francyi. Miał on za sobą pannę de Blois, drugą córkę króla i pani de Montespan.

Owdowiała księżna Conti, córka Ludwika XIVgo i pani de Lavalliere, była bardzo przyjemna i lubiona. Jej małżonek umarł po kilku latach zamęźcia. Na jego miejsce został książęciem de Conti brat jego, dotychczasowy hrabia de Roche-sur-Yonne, któremu teraz tron Polski przeznaczono. Ożenił on się był z swoją kuzynką, panną de Bourbon, wnuczką wielkiego Kondeusza, wielce w tym swoim młodym bratanku rozmiłowanego. Książę de Bourbon poślubiony był z panną de Nantes, najstarszą córką króla i pani de Montespan, któréj umysł i wdzięki tak powszechną zyskały chwałę.

Książę de Maine, najulubieńszy z Ludwika XIVgo synów, któremu ojciec nad wszystkiémi swojémi dziećmi pierwszeństwo dawał, dopiéro po długich staraniach osiągnął rękę drugiej siostry księcia de Bourbon i księżny Conti. To nadzwyczajne szczęście naturalnych synów Ludwika XIVgo, ich usilne kojarzenie z rodziną królewską, wzbudzało wielką niechęć u dworu. Ludwik XIV wiedział o tém, i czuł, iż skargi te były słuszne, lecz jego miłość do tych dzieci dorywczych, była tak mocna, iż je nad wszystkie inne wynosił. Książę de Maine, wychowany przez panią de Maintenon, nie był zbyt szlachetnego charakteru; miano go powszechnie za obłudnego i tchórza. Zachodzące między nim a księciem de Conti przeciwieństwo raniło niewymownie serce królewskie. Przywiązanie wojska do księcia Conti, który słynął ze swojéj waleczności, zdało się w oczach Ludwika XIVgo winą, któréj mu nigdy nie przebaczył; jakoż nigdy żadnej łaski mu nie okazał. Było więc na rękę królowi, iż go teraz królem Polskim obrano, przeco książę Conti musiał opuścić Francyję i ustąpić z oczu królowi.

Tegoż samego dnia, kiedy Ludwik XIV, z panią de Maintenon o sprawach polskich rozmawiał, księżna de Bourbon siedziała samotnie w swym buduarze, rozmyślając nad niezwykłem przyjeciem, jakiego od ojca dziś doznała, i nad ironijnemi żartami jego dawnej ulubienicy. Nie uspiała ona jeszcze zdjąć z siebie dzisiejszego stroju dworskiego, gdy już nad-

szedł książę de Bourbon. Obejście się jego było bardzo surowe; zaledwie dotknął się kapelusza, którego jednakże nie zdjął, gdyż był z natury niegrzecznym. Potém zbliżył się do małżonki i zapytał, czyby też z kwadrans czasu do rozmowy z nim nie miała.

„Bardzo chętnie, mój panie; cóż pan sobie życzysz?"

„Bardzo prostéj rzeczy; oto chciałem pani oznajmić, iż nie mogę znieść dłużej jej postępowania, i że przed królem uskarżać się będę, jeżli pani nadal tego nie zaniechasz."

„Zkądże ten gniew, mój panie? Cóżto pan pod mojém postępowaniem rozumiész? Czegoż względem pana się dopuściłam? Mianożby przejąć korespondencyję między mną a jakim muszkieterem, jakto mojej siostrze Conti się przydarzyło? Czyż ja po nocy rozpustuję i spokojnych mieszczan, jak pan, ze snu przebudzam? Cóż więc masz mi pan do zarzucenia?"

„O wiém ja o tém, moja pani, iż cała twoja bękarcia rodzina w tym kale się tarza, z którego wyszła; wiém, iż się zhańbiłem, zawiérając z panią związek; wiém ja to dobrze, i nazbyt często inni mi to powtarzają."

„I gdzież-to powtarzają, mój panie? Zapewne gdzie po szynkowniach...."

„Nie obrażaj mię pani! Drażnisz mię do ostateczności, a wiész przecież, iż w takim razie poskromić się nie umiém."

„Wiém mój panie, iż wnuk wielkiego Kondeusza, chociaż bije swoich lokai, przecież do tego stopnia się nie upodli, aby miał bić swoję żonę: jestem więc spokojną. I jeszcze raz tedy pytam, co mi pan masz do zarzucenia?"

„Zaniedbanie względów mnie winnych i pierwszeństwo, okazane.... Już mię pani rozumiész."

„A gdybym też rzeczywiście jaki wybór uczyniła, i cóżbyś pan na to śmiał powiedzieć? Musiałabym o ten występek przeciw Bogu i jego przykazaniom z mojém własném sumieniem się rozprawić, ale z panem!.... Ja panu – niczém. Zawsześ mi pan tylko nieszczęście sprawiał; obchodzisz się ze mną jak z osobą, która na ostatnie lekceważenie zasługuje; a przecież wiém bardzo dobrze, jakiémito ścieżkami pan sam chodzisz. Milczałam dotąd jakbym o niczém nie wiedziała, ale jeżli mię pan obwiniasz, tedy muszę się uniewinniać, i przytaczam niesłuszność, jaką mi pan ciągle wyrządzasz. Jeżli to panu się nie podoba, tedy skarż się przed królem. Ja skarżyć się nie potrzebuję, gdyż król wié dobrze o wszystkiém, i łatwo przed nim się wytłumaczę."

Książę przechadzał się po pokoju; słuchając słów tych, to bladł to rumienił się na przemiany; widać było po nim, iż sobie gwałt zadawał, aby gniewem nie spłonął. Jak wszyscy książęta, którzy za sobą naturalne córki Ludwika XIV mieli, lękał on się swojej żony, wiedząc, jaką władzę ona nad umysłem ojca swojego wywiérała, a powaga króla była dla wszystkich tak groźną, iż nikt sprzeciwiać się jej nie śmiał. Księżna czekała odpowiedzi małżonka i ukryła bojaźń swoję pod maskę udanéj śmiałości. Po kilku minutach milczenia powstała.

„Nie masz mi pan zapewne nic więcéj do powiedzenia. Zatém pozwól, abym się oddaliła. Jestem barzdzo znużona; zgromadzenie u króla trwało dzisiejszego wieczora nazbyt długo; już późno."

To rzekłszy, ukłoniła się głęboko, i odeszła do swojéj sypialni. —

O saméj północy wyszła z pałacu wersalskiego jakaś dama, osłonięta starannie płaszczem, mająca z sobą lokaja w ciemno czerwoniawej barwie. Przybywszy na taras, poszepnął lokaj kilka słów stojącemu na straży żołnierzowi, który ich w milczeniu przepuścił. Noc była ciemna; ściągające zewsząd chmury groziły blizką burzą, a od czasu do czasu łyskało po czarném niebie.

„Jestto niebezpiecznie, wychodzić o tak późnéj godzinie;" — rzekł lokaj do damy — „a gdybyś *madame* mojéj rady usłuchać chciała, starałabyś się ujść tej niedalekiej burzy."

„Nie odzywaj się, *chevalier*, gdyż mógłbyś być poznanym; jesteśmy jeszcze zanadto blizko pałacu."

„Ależ, *madame*, jestżeto roztropnie ze strony twojéj, odważać się na ten krok, po takiej rozmowie, jakąś pani przed chwilą z książęciem miała?"

„Muszę go widzieć, powiadam ci; wszystko mi zajedno, cokolwiek ztąd wypaść może. Wiém ja, iż ta burza, która tak groźno ponad owym lasem się wznosi, nie jest tak srogą dla mnie, jak ta, która ztamtąd" — tu wskazała dama na okno pani de Maintenon — „zapalczywie na mnie godzi. Wyczytałam to dziś z jej oczu. Ale niech się dzieje co chce, muszę go widzieć; on mojém szczęściem, on mojém życiem! Oto masz kluczyk; otwórz fórtkę do lasku apollińskiego; musi on już tam czekać na mnie; pan zostań u wnijścia i daj natychmiast znać, skoro najmniejszy szelest posłyszysz."

Poczém księżna — gdyż ona to była — weszła do lasku, gdzie jakiś mężczyzna naprzeciw niéj wyszedł. Przy blasku przelotnéj błyskawicy można było widzieć lśniącą wstęgę orderową, a przy boku błyszczała bogato dyjamentami wysadzana szpada.

* *
*

W kilka dni po opowiedzianych tu scenach zdarzyło się, iż *monseigneur*, następca tronu i książę Conti razem w lesie polowali. *Monseigneur* zdawał się być w bardzo wesołym humorze i przymawiał księciu Conti, iż był czegoś roztargnionym i ponurym.

„Cóż ci to jest kuzynie? Zapominasz się co chwila. Jeżli to dłużéj tak potrwa, tedy gotóweś psy

nasze brać za jelenie i strzelać do nich. Zaledwie słyszysz co mówię i wcale mi nie odpowiadasz.”

»Przepraszam, *monseigneur*, jestem dziś nieco cierpiącym. Sam nie wiem przyczyny temu.”

»Czyż jaka nowa niełaska cię spotkała? Zeszedłeś się może z panem de Maine i jego dumną małżonką? Albo król cię źle przyjął? Lub też pani de Maintenon znowu ci dowód swojej niechęci okazała?”

„Bynajmniej, *monseigneur*, nic z tego wszystkiego nie zdarzyło mi się; przybywam z Chantilly, i nie byłem dziś wcale w Marly.”

„Ah, przybywasz z Chantilly! I jakże miewa się księżna?”

„Bardzo dobrze, *monseigneur;* jest znowuż u dworu.”

„A książę, czy także?”

„Także, *monseigneur*.”

„I byłże cokolwiek więcej uprzejmym dla ciebie?”

„Był dla mnie takim jak zawsze i dla wszystkich.”

„To jest: nieznośnym; rozumiem cię. Ale otoż zbliżamy się do zamku. I cóż myślisz robić? Czy wstąpisz?”

W tej chwili nadszedł aleją goniec w barwie królewskiej; *monseigneur* zawołał go:

„Cóż tam nowego?”

„List króla do *monseigneur*'a.”

„Dobrze, daj go.”

Książę de Conti wziął list od gońca i podał go delfinowi, który natychmiast go rozpieczętował. Przy czytaniu zmieniła się nagle twarz delfina widocznem niespokojnem wzruszeniem.

„Ach, mój Boże, cóżto się dowiaduję!” zawołał *monseigneur*. »Mój kuzynie, król żąda mówić z tobą; szukają cię w Isle d'Adam. Musisz natychmiast do Marly odjechać. Pojadę tam niezwłocznie za tobą, mój kochany kuzynie.”

A mówiąc to, ściskał królewic rękę księciu de Conti, który nie mógł pojąć co się stało.

»*Monseigneur,* racz mi powiedzieć, proszę, czy mamy wojnę? Otrzymamże wreszcie dowództwo nad armiją?”

»Nie, nie; wojny nie ma; lecz otrzymasz w istocie piękne dowództwo. Cieszę się z tego, gniewam się na to, ale koniec końców, wart jesteś tego. I masz się czém pochlubić; pragniesz sławy, i będziesz jej miał podostatkiem.”

»*Monseigneur,* proszę, gdzieżto chcą mię wyprawić? Do Niemiec, czy do Węgier, czy dokąd?”

„Nie mogę ci tego powiedzieć. Idź do króla; czeka on już na ciebie. Będę niezadługo sam w Marly i wybadam tamtejsze fizyjonomije. *Adieu,* spiesz się.”

»Po tych słowach skinął *monseigneur* ręką i odszedł.

Gdy książę de Conti do Marly przybył, król był na przechadzce, i tamże udał się książę za nim. Przyjęto go tym razem z niezwykłą uprzejmością.”

„Przybywasz bardzo późno, książę;” — rzekł król — „kazałem cię szukać w Isle d'Adam, ale cię tam nie było.”

„Tak jest, *sire,* przybywam z Chantilly, gdzie z księżną Conti się widziałem.”

„Mylisz się, książę; jest ona tutaj; kazałem ją prosić do siebie.”

Po tych słowach wzięła cała rozmowa inny obrót. Zamek Marly, od niedawna dopiero przez Ludwika XIVgo zamieszkany, doznawał prawie co tygodnia nowych odmian. Wielki monarcha zmuszał nawet naturę utworzyć mu za pieniądze zachwycającą siedzibę. Park w Marly, prawie tak piękny jak wersalski, nie miał sobie równego w całej Europie. To też lubił go Ludwik XIV nad wszystkie inne.

Pośród wszelkich pochlebstw dworskich, był książę Conti ciągle zamyślonym. Ciekawiła go niemało zagadka jego spiesznego przywołania do króla, lecz oraz przejmowało go jakieś posępne, niewytłumaczone przeczucie. Takiemito bywają już wszystkie tkliwie usposobione umysły; najważniejsze wypadki widzą one tylko w źwierciedle własnego serca; drobny kwiatek jest im nieraz cenniejszym niż korona.

W chwili gdy król znowuż na pokoje pani de Maintenon się udawał, wszedł paź w barwie rodziny Condé i przyniósł list księciu Conti.

„Nie oddalaj się, mój kuzynie;” — rzekł król — „będę miał wkrótce z tobą do pomówienia. Przywołać pana de Torcy.”

Paź pobiegł naprzód, książę udał się za nim.

Książęta i księżne królewskiej rodziny miały w Marly bardzo szczupłe mieszkania. Zamek był zanadto małym, aby je wszystkie tak wygodnie pomieścił, jak to w Wersalu stać się mogło. Księżna de Bourbon mieszkała bardzo blizko sióstr swoich, a to sąsiedztwo wielce ją kłopotało, ponieważ księżne nie żyły z sobą w zgodzie. Paź otworzył zlekka drzwi do salonu, którego wszystkie zasłony były spuszczone, i rzekł:

„Wasza książęca mości, oto książę de Conti.”

Księżna była samotna, i siedziała albo raczej leżała w dużem gockiem poręczowem krześle. Mimo nadejścia księcia de Conti, księżna ani się podniosła, ani się z miejsca ruszyła.

„Dla Boga, cóżto pani jest!” zawołał książę. »Dlaczegoż to milczenie, ta ciemność? Czyś pani może chora?”

To mówiąc rzucił się do nóg księżnéj.

„Ludwiku,” — odpowiedziała księżna z widocznem natężeniem — „Ludwiku, mamy się rozstać!”

»Rozstać! I któżby śmiał nas do tego zmusić! W tym razie oparłbym się samemu królowi.”

»Mamy się rozstać, mówię panu; a co najgorsza, że ja nie mogę i nie chcę się temu sprzeciwiać.”

„Mów pani, mów pani! Dziś wszystko koło

mnie tajemnicą! Ale pani, przyjaciółka moja, wiedząc o téj tajemnicy, racz mi ją wyjaśnić, proszę cię!»

„Jestto piękna, spaniała tajemnica, mój przyjacielu. Jestem szczęśliwą, jestem uradowaną!» — A mówiąc to, rozpłakała się biédna księżna.

„Zachowanie pani podobne w tym względzie do delfina; i on w ten sam sposób ze mną mówił.»

»Wszyscy, którzy pana kochają, będą się przy tém podobnie zachowywali; wszyscy będą się unosić radością, a przecież płakać »

»Na Boga zaklinam panią, cóż to znaczy!»

„Więc dobrze, powiem to panu. Jesteś walecznym, spaniałomyślnym mężczyzną. Ja, słaba niewiasta, czciłam zawsze ten charakter, i życie tobie oddałam. Pewien wielki naród uczynił tożsamo i oddał ci koronę. Zostałeś królem Polskim i musisz mię opuścić.»

„Pani!» zawołał książę. „Nie przysiągłżem, iż cię wiecznie kochać będę? Miałażbyś pani może nie wierzyć mojéj przysiędze, i sidła mi zastawiać?»

»Ach, niestety, nie sąto zwodne sidła. Usłyszysz to wkrótce z ust króla; dlategoto kazał on cię przywołać. Zresztą nikt o tém nie wié, prócz *monseigneur*'a. Mój brat powiedział mi to, chcąc mi oszczędzić bolesnéj radości w obliczu całego dworu, a ja chciałam być pierwszą, która waszą król. mość tém nowém mianem powita.»

„Mój Boże! Ludwiko! Tracę zmysły. Czyż to wszystko ma być prawdą! I myśliszże pani istotnie, że wszystkie królestwa tego świata staną mi za spokój mego serca? Uspokój się, moja przyjaciółko. Zostanę.»

„Przewidywałam to,» — przejęła księżna — „i dlatego powołałam pana do siebie. Tak jest, wiedziałam iż mię tak mocno kochasz, że nawet koronę dla mnie poświęcisz; lecz ja nie chcę takiéj ofiary.»

„I nie jestto też żadną ofiarą, przysięgam pani. Pomnij, co to za tron, który mię oczekuje. Mogęż ja go moim dzieciom zostawić? Wyniesież on mię na równię z innymi samowładnymi monarchami Europy? Nie. Tysiączne przeszkody opierają się temu przedsięwzięciu; musiałbym nie zważać na mnogie, przykre okoliczności, przeciw którym sumienie moje się wzdryga, a wkońcu cóżby mi zało w udziele zostało? Musiałbym opuścić Francyję, panią, następcę tronu, którego rządy wynagrodzą mię za doznawane dotychczas krzywdy: znosiłbym męczarnię wieczystego wygnania. Nie, pani, jeszcze raz powtarzam, nie przystaję na to.»

»I nie zastanawiaszże się pan nad tém, iż wszyscyby powód tego zrzeczenia się odgadli? Nie zważaszże pan, iż przezto nasza miłość, już i tak niezliczonémi otoczona przeszkody, ostatecznyby cios zguby otrzymała. Ponieważ mię pan zmuszasz do tego, więc wyznam mu już wszystko. Książę ma różne domniemywania, które lada drobnostka stwierdzić może. Zwierzył on się w téj mierze księciu de Maine. Ten, będąc może dlatego wielkim nieprzyjacielem pana, ponieważ jesteś kochanym ode mnie, doradził mu, udać się z tém do króla. Książę de Maine waha się jeszcze, lecz uczyni to nieochybnie, skoro tylko najmniejsza okoliczność da mu powód do tego, a łatwo pojąć można, iż natenczas będę zgubioną. Zatém przekonywasz się pan, iż musisz przyjąć koronę.»

»O mój Boże!» zawołał książę. »Dlaczegożto zmuszasz mię pani do téj okropnéj konieczności? Dlaczegożto kładziesz koronę na szalę?»

„Ludwiku, Ludwiku, błagam cię, nie opiéraj się temu. Czas mija, za chwilę król cię przywołać każe, pamiętaj, że jeźli przyjąć nie zechcesz tronu, zgubą to moją będzie.»

„O, Ludwiko! Już mię chyba nie kochasz!»

Księżna rzuciła mu się w objęcie.

»Wiém że ja,» — szepnęła — „czego ja żądam, co mówię! Dopełniam tylko powinności. Rozdziéram sobie i tobie serce. O, nie opuszczaj mnie!»

Wtém dał się słyszeć nieznaczny szelest w przedpokoju. Księżna otarła łzy i przybrała pozór spokojności.

„Nadchodzą Ludwiku; powierzam się twojemu honorowi. Los mój spoczywa w twoim ręku. Uważ, iż cała Europa patrzy na nas, uważ, ile winni jesteśmy imieniu, które oboje nosimy, a témbardziéj, ile ty winien jesteś twéj sławie. Cokolwiek postanowisz, ja naprzód na to przyzwalam. Będę godną ciebie, to ci przyrzekam. Teraz idę do wielkiéj sali. Tam możesz znaleźć w mojém spojrzeniu zachętę lub pociechę, jak sam tego zechcesz. Rozejdźmy się teraz, i nabierzmy odwagi, mój przyjacielu!»

Poczém otworzywszy drzwi do sypialni, zamknęła się tam w téj właśnie chwili, kiedy księciu de Conti oznajmiono, iż go król do siebie wzywa.

Ludwik XIV był na pokojach pani de Maintenon. Książę Conti oczekiwał jego rozkazów w nadzwyczajném wzruszeniu.

„Mój kuzynie,» — ozwał się król — »oto są dwa listy, jeden od opata de Polignac, drugi od pana de Chateauneuf; przeczytaj podpis, a dowiész się, co ci tu z prawdziwą przyjemnością mam donieść: — jesteś królem Polskim.»

Książę rzucił się przed królem na kolana, nie odpowiadając ani słowa; pani de Maintenon spoglądała na niego, chcąc najskrytsze myśli jego przeniknąć. Książę postrzegł tę okoliczność, która dodała mu odwagi, jakiéj byłby zapewne inaczéj nie miał.

„Dziękuję waszéj król. mości» — rzekł książę wreszcie — „za łaskę, jaką mi tu wyświadczasz.»

»Nie ma w tém żadnéj łaski. Polacy uznali twoje znakomite zalety, i obrali cię królem, a ja temu opiérać się nie mogę, ani też chcę tego. Jestto istotnym zaszczytem dla mego domu, iż obrano wła-

śnie książęcia z mojéj rodziny, i to bez intryg, bez dołożenia się mego wpływu. Jestem prawdziwie dumnym z tego. Odtąd uważam cię za króla Polskiego i stosownie do tego będę się z tobą obchodził.»

»Nie *sire,* nie śmiém tego przyjąć od ciebie. Nie wiem jeszcze czy przyjmę albo nieprzyjmę ten mi dar przeznaczony. Na każdy zaś wypadek nie mogę sobie przywłaszczać stopnia i tytułu, aż póki rzeczywiście posiadać ich nie będę. Być łatwo może, iż naród wyboru mego nie utwierdzi, i minie mię korona. Proszę tedy waszéj król. mości, abyś księżnę Conti i mnie i nadal téż za swoich wiernych poddanych uważać raczył.»

„Jestto bardzo pięknie z twojéj strony, mój kochany kuzynie, i dajesz tém najlepszy dowód, iż jesteś godnym uczynionego wyboru. Żądania stanów polskich są w istocie przesadne, i dziwię się, jak *abbé* de Polignac mógł je przyjąć. Wglądniemy w to, gdy sam do Polski się udasz. Ztémwszystkiém obwołano cię królem w Warszawie i jesteś więc z łaski Bożéj, obranym królem Polskim i W. Ks. Litewskim.»

„Proszę o kilka dni do namysłu, *sire.* Potrzeba do tego należytéj rozwagi. Radbym się chętnie poradził w tém delfina, który zawsze tyle przyjaźni mi okazywał, tudzież księżnéj Conti, księcia de....»

»Nie zapominaj książę, iżeś nikogo pierwéj o radę pytać się nie powinien, aż póki mojéj nie zasięgniesz. Ja zaś powiadam ci, iż musisz przyjąć koronę Polską, gdyż inaczéj wystawiłoby to mię na rozliczne kłopoty, i możeby nawet ciężkie skutki za sobą pociągnęło. W niektórych okolicznościach należy największe ofiary oziębłe znosić; w takiém właśnie położeniu ty się znajdujesz, książę. A ponieważ chcesz rady, tedy przyjm tę ode mnie: Kto nie godzien jest przeprowadzić do końca roli, jaką przed całym narodem śmiał odgrywać, ten nie wart jest litości; tylko kobiety wahają się.»

»Książę de Conti,»— ozwała się wreszcie pani de Maintenon, która dotąd niemym tylko świadkiem téj sceny była — „teraz sądzę, iż mogę już złożyć panu moje życzenia. Król pozwoli na to zapewne.»

Książę ukłonił się, nie odpowiadając.

„Musisz natychmiast odjechać;» — rzekł król — „w Dunkierce stoją gotowe już okręty, a cały pomyślny skutek tego przedsięwzięcia zależy od szybkości naszych kroków. Jan Bart zawiezie cię bezpiecznie do Polski.»

„Zaklinam cię nanowo *sire,* nie narażaj mię na tak dwuznaczne przedsięwzięcie. Pozwól mi aż do mego wyjazdu usunąć się od dworu, pozwól, abym się jeszcze nieco namyślił. Ty, miłościwy panie, będąc królem najpiękniejszego kraju kuli ziemskiéj, nie wiesz, nie możesz wcale wiedzieć, coto jest pozbawiać się ojczyzny i rodziny; ile niewysłowionéj goryczy jest w tak ciężkiéj ofierze.»

»Przecieżeś jeszcze nie zapomniał swojéj podróży do Węgier, i, ile cię ona kosztowała. Przypomnę ją sobie także, jeżli mi ją tym sposobem w pamięć przywodzić zechcesz.»

»Przebaczenia *sire,* wszakże między tém wspomnieniem a tobą stoi śmiertelne łoże wielkiego Kondeusza, i przysięga, jakąś mu złożył, nie pamiętać mi téj nieroztropności młodzieńczéj.»

»Na to mam tylko jeden środek;» rzekł król, i roztrącając podwoje do wielkiéj sali, zawołał: „Oznajmić króla, i króla Polskiego!»

* * *

Książę de Conti przybył do Dunkierki dnia 3go września, wieczorem. Jan Bart, sławny w owych czasach admirał, przedsięwziął był już wszelkie środki przygotowawcze, i miano już nazajutrz odpłynąć. Książę de Conti był sam w jednym z pokojów admiralicyi, i otworzywszy swoje portofolio, szukał tam jakiegoś listu.

„Prosiła mię, abym to dopiéro tutaj odczytał; dotrzymałem przyrzeczenia, i muszę jeszcze na ten list odpowiedzieć, zanim się w podróż udamy. Ach jestto ostatni list, jaki mię w téj drogiéj, drogiéj Francyi dochodzi.»

„Mój przyjacielu!» — byłyto słowa listu — »Piszę to jedynie jako przyjaciółka; zapomnę tkliwych związków, jakie nas niegdyś łączyły, i zachowam ci tylko miłość siostry. Znajdziesz w tym liście pierścień żałobny, noś go zawsze, jakgdybym już umarła. Przyślij mi podobny, a nawet w grobie z nim się nie rozłączę. Teraz, żegnaj! Bądź odważnym i pomnij, ile winien jesteś dziejom; pomnij, iż urodziłeś się na bohatéra. Sillery, nasz powiernik w dniach szczęścia, będzie nam pośrednikiem w tym smutnym czasie rozstania. Poleciłam mu czuwać nad tobą, gdy ja niestety czynić już tego nie mogę.»

Po odczytaniu tego listu stał książę przez chwilę jakby pochłoniony boleścią, z wlepionem w pierścień spojrzeniem, ze łzami w oczach.

„Umarłą dla mnie! Nie! Przenigdy! Ja nie chcę tego królestwa! Powrócę do Francyi! Cóż mi po sławie, co po tryjumfach! Ona tylko sama może upiększyć moje życie.»

„Wasza książęca mości,» — ozwał się pan de Sillery, wstępując — »zdaje się, iż nie dostaniemy się tak łatwo do Polski; flota nieprzyjacielska oczekuje nas na morzu bałtyckiem. Piérwszym naszym krokiem będzie bój krwawy.»

„Oby cię nieba wysłuchały, mój przyjacielu! Powiedz wszystkim, aby mnie nikt królem nie nazywał; nie przybiorę tego tytułu, aż póki nie będę koronowanym w Warszawie — jeżli tylko do tego przyjdzie.»

»*Monseigneur,*« — odrzekł pan de Sillery — »w Europie nie ma nikogo prócz ciebie, ktoby był godzien nastąpić po wielkim Sobieskim. Nie lękam się rywala.«

»A ja się go spodziéwam.«

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 2∂my i zawiéra: 1) Słów kilka o uprawie marzanny (*Rubia tinctorum*). 2) Czy sierp, czy kosa? 3) Najnowsze doświadczenia w hodowaniu zwiérząt domowych. 4) Kilka słów o potrzebie porządku i rachunku. 5) Wiadomości handlowe. *Dziennika mód paryzkich* pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 15ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Ukryte drzwiczki. Powieść. 2) Anioł pański. Wiérsz. 3) Nocleg w puszczy. Wiérsz (z Freiligratha). 4) O gramatyce J. N. Deszkiewicza. (Dokończenie.) 5) Nowości literackie. 6) Uwiadomienie.

Z Warszawy: *Biblijoteka warszawska* za lipiec: 1) O układach w botanice, przez K. Zaczyńskiego. 2) Przestępstwo wielożeństwa, w krótkości skreślił Fr. Maciejowski. 3) Odpowiedź na artykuł pod nap. Grammatyka Polska, przez T. Sierocińskiego. 4) Rzut oka na urządzenie służby zdrowia w król. Polskiem, przez K. Reinhardta. 5) Poezyje. 6) Zdanie o dziełku: Klucz dla objaśnienia praktyczno-arytmetycznych tablic, przez A. Frąckiewicza. 7) Rozmaitości. Kronika literacka, zagraniczna, biblijograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne.

Zmarły papież Grzegorz XVI pochodził z szlacheckiéj rodziny włoskiéj Capellari, któréj herb, należący do tak zwanych herbów mówiących, *armes parlantes*, to jest takich, co mają związek z nazwiskiem herbownego, wyobraża: kapelusz czarny przewiązany dwoma sznurkami w polu błękitném. Tak podaje herb ten *Almanac de Gotha*. Rodzina Capellari przed niedawnémi czasy weszła w związek pokrewny z jedną z znakomitych i dawnych rodzin polskich, a to w skutek małżeństwa hrabiego Poito, siostrzeńca po siostrze zmarłego papieża z potomką rodu Radolińskich-Lanckorońskich. Przytoczenie tego pokrewieństwa rodziny Radolińskich z papieżem Grzegorzem XVI opiéra się na przypisach do rodowodu domu tego w wydaniu lipskiém herbarza Niesieckiego, oraz na wywodzie rodu Radolińskich w dziełach heraldycznych *Revue de la noblesse* i *Livre d'or*. (Kur. Warsz.)

Odessa, lubo dopiéro od lat 52ch założona, liczy już wraz z przedmieściami przeszło 77.000 mieszkańców, i zajmuje trzecie miejsce w rzędzie miast rosyjskich. Ludność jego odznacza się pstrą mieszaniną najróżnorodniejszych narodowości, jakiéj w tym samym stopniu trudno jest zapewne znaleźć gdzieindziéj. Oprócz Rosyjan znajdują się tu jeszcze Grecy, Bułgarowie, Ilirowie, Serbowie, Włosi, Niemcy, Anglicy i Żydzi, jakoteż w mniejszéj ilości Hiszpani, Ormianie i Wołosi. O rozliczności wyznań religijnych można już ztąd niejakie powziąć wyobrażenie, iż przy wyborach miejskich, dla wysłuchania przysięgi, muszą być obecni księża: grecko-katolicki, ormiański, rzymsko-katolicki, luterski, kalwiński, tudzież rabin talmudzki i chacham karaicki. Stan kupiecki dzieli się na dwie klasy, to jest klasę kupców rosyjskich, składającą się po większéj części z Niemców, Greków, talmudzkich i karaickich Żydów, i klasę kupców zagranicznych. Jestto ciekawą rzeczą, iż w ostatnich dziesięciu latach liczba kupców chrześcijańskich powoli się umniejszyła, liczba zaś kupców żydowskich w tymsamym stopniu się wzmogła. Od niejakiego czasu biorą się do handlu Odeskiego także Małorosyjanie i Polacy, a statkami nadbrzeżnémi kierują prawie wyłącznie potomkowie kozaków Zaporozkich, którzy już w 16m i 17m wieku śmiałemi wyprawami na czarnem morzu aż po Konstantynopol i wybrzeża Anatolskie się wsławili.

Pobyt Ibrahima w Paryżu okazał już swoje skutki. Czy Francuzom się powiedzie, tego sławnego książęcia oryjentalnego na Francuza przerobić, jest wcale wątpliwą rzeczą, tymczasem on ich znacznie już zegiptyzował. Od trzech tygodni słychać tylko o samych egipskich wojskowych popisach, egipskich koncertach, a teraz ma się odbyć w Chateauroux świetna uczta egipska. Głównym tańcem będzie egipski *caralobuk*, do którego muzykę dorobił Felicyjan David; rozumie się, iż ta muzyka będzie odegraną na egipskich instrumentach, to jest *tarabukach*; a ponieważ wszyscy muzykanci podług zwyczaju egipskiego, tylko na jednym instrumencie grać mają, tedy dadzą się słyszéć razem 63 tarabuków. Zresztą mało kto ma właściwe wyobrażenie co to jest *tarabuk*, tyle tylko jest pewną rzeczą, iż on do tańcu nadzwyczajnie zachęca, i nawet najociężalsze zwiérzęta, jak np. w Egipcie najkrnąbrniejszych dromedarów, harmoniją swoją w cwał wprawia. Kto żadnym sposobem po *tarabuku* tańczyć nie zechce, będzie mógł rozlegać się na dywanach i palić wonny *caporalibuk*. Wstęp kosztuje cekina, ale ponieważ trudno będzie w Paryżu o dostateczną ilość cekinów, tedy właściciel zamku Chateauroux, będzie musiał dać się przebłagać publiczności i zniżyć wstęp na 5 franków.

Teatr angielski za czasów Szekspira. Kroniki angielskie opisują nam w dziwny sposób założenie teatru nadwornego przez królowę Elżbietę. Doręczyła ona swemu marszałkowi nadwornemu, Tilney, nieograniczone, wielką pieczęcią opatrzone pełnomocnictwo, upoważniające go »do pochwytywania wszystkich dobrych aktorów, bądźto do jakiejkolwiek trupy lordowskiéj lub miejskiéj, w Londynie lub gdzieindziéj, należących, i utworzenia z nich osobnéj nadwornéj trupy w celu rozerwania i zabawy jéj król. mości.« Kto się sprzeciwiał i dotychczasowéj posady opuścić nie chciał, miał być natychmiast uwięzionym, i to bez możności dawania »porękі lub okupu«, aż dopóki posłusznym się nie okazał. Najciekawszym szczegółem tego dokumentu, było upoważnienie Tilneya do użycia podobnéj przemocy nietylko na aktorów lecz nawet na autorów dramatycznych; każdy autor, którego on wymienił, obowiązany był stawić się przed nim, i odczytywać wszelkie swoje utwory dramatyczne. Co więcej! Władza Tilneya jako zawiadowcy widowisk królewskich posuwała się tak dalece, iż dla zapobieżenia zbiegostwu swoich artystów, płacił im nie pieniędzmi, lecz skórzanémi markami, które tylko w Londynie wartość miały.

Balsamowanie roślin. Pewien szwedzki botanik miał odkryć sposób balsamowania kwiatów, i uwiadomił już o tem akademiję umiejętności w Sztokholmie, zasyłając jéj oraz nabalsamowany i zupełnie dobrze zachowany krzew róży. Gdyby to odkrycie się sprawdziło, tedy możnaby miéć zbiory kwiatów ze wszystkich części świata, w ich naturalnym stanie, coby oczywiście było z wielką korzyścią dla całej botaniki.

Jednakowoż, podług przestrzeżenia wynalczcy, może ten sposób tylko na żyjących roślinach być doświadczanym.

O nędzy w Irlandyi, a oraz o wynikającej ztąd demoralizacyi tegoż kraju można niejakie wyobrażenie z téj jednéj powziąć okoliczności, iż niedawno temu w Leinster zapozwany był do sądu człowiek, który za 6 szylingów (około 8 zł. pol.), podjął się był zastrzelić pewnego furmana.

Na cześć pana Mojżesza Montefiore i jego małżonki Judyty, otrzymały wszystkie podczas ich pobytu w Wilnie narodzone dzieci żydowskie, imiona Mojżesz i Judyta, co podług kronik żydowskich, tylko raz się stało, gdy Aleksander Wielki, jako oswobodziciel narodu, w Jerozolimie zagościł.

Poświęcenie się na śmierć wdów w Indyjach Wschodnich. Gdy w r. 1839m maharadsza Rundżit Sing po 40letniém panowaniu umarł, spalono jego ciało podług krajowego zwyczaju już dnia następnego, przed bramą zamku Hasury-Bagh, w obecności wszystkich znakomitszych panów dworu i wojska zgromadzonego. Wraz z nim spaliło się natenczas 4 wdów jego i 7 niewolnic. Jeden z naocznych świadków opowiada, iż nic w życiu tak głębokiego na nim wrażenia nie sprawiło, jak widok tych nieszczęśliwych ofiar, gdy one właśnie śród odgłosu dział i muzyki w uroczystej procesyi z bramy zamkowej wychodziły. Prawie cała ludność Lahory wyruszyła na miejsce tego obrzędu. Trup już był umieszczony w postawie siedzącéj na szczycie ogromnego, przestronnie rozłożonego stosu, ku któremu procesyja się zbliżała. Po należytém rozpłonięciu pożaru zaczęły się biédne kobiety na śmierć gotować. Dwie z nich, mające po 16 lat, zachwycającéj piękności, zdawały się być szczęśliwe, iż mogą po raz piérwszy wdzięki swoje przed publicznością odsłonić. Zdjęły z siebie klejnoty, i darowały je swoim krewnym, poczem kazały sobie podać źwierciadło, i szły powoli ku stosowi, patrząc kolejnie to w źwierciadło to na publiczność, i troskliwie się dopytując, czy jakiej zmiany w ich twarzy nie widać. Ledwie ku stosowi przystąpiły, już je dym i płomienie ogarnęły i prawie w oka mgnieniu udusiły. Mniéj ochoczą zdawała się być reszta ofiar; można było dostrzedz ich tajemną zgrozę, jaką je widok płonącego stosu przenikał; ztemwszystkiem, wiedząc iż nie ma sposobu ocalenia się, musiały ulédz losowi. Tożsamo i minister zmarłego księcia, Dihan Sing, zabiérał się do rzucenia się w ogień, lecz następcy maharadszy, mianowicie Shyr Sing, wstrzymali go od tego. Taki pogrzebny obrzęd spalenia się wdów, nazywa się w języku krajowym *Suttieh*.

Skutki leczenia zimną wodą. Niedawno odbyły się w Londynie urzędowe oględziny człowieka zmarłego w skutek leczenia zimną wodą. Cała sala była przepełniona widzami. Nieboszczyk dał się był przyjąć niejakiemu dokt. Ellis do jego zakładu leczenia wodą, i tamże niebawem życie zakończył. Sąd przysięgłych, przewodniczący oględzinom, uznał, iż chory »przez niestosowne obchodzenie się z nim w pomienionym zakładzie lekarskim, życie postradał«, a przeto jednogłośnie dokt. Ellis o zabójstwo oskarzył i pod sąd kryminalny oddał.

Rodowód psów. Nie ma wątpienia, iż psy nie są niczém innem, jak tylko cywilizowanémi wilkami. Twierdzi to p. Edward Jesse, autor świéżo wydanego dzieła »*Aneqdoty o psach*«. Dla przekonania się, badał on dokładnie kilka rodowodów, i wynalazł w parku lorda Pembroke starożytny grobowiec, przeciw któremu najniewierniejszy Tomasz nic zarzucić nie może. Znajdujący się na tym grobowcu napis opiewa: »Tu spoczywa Lupa, któréj dziadem był wilk, ojciec i babka psami, a matka pół-psem pół-wilkiem. Zeszła ze świata dnia 16go października r. 1782, w 12m roku życia.« — Że ten dowód na wszelką wiarę zasługuje, świadczą o tém mnogie wypadki, umieszczone w spomnionéj książce.

Koleje żelazne, drogami mlecznémi. Pewne pismo angielskie donosi: »Okolice miasta Essex, których mieszkańcy przed kilką laty byliby wyśmieli każdego, coby im był radził wysełać mleko do Londynu, prowadzą teraz znaczny i co dnia bardziéj zyskowny handel tymże artykułem. Jadąc koleją Eastern-Counties, postrzega się wiele ogromnych cynowych naczyń, w których mleko rozsełane bywa; a że nato umyślne wagony urządzono, przeto dochodzi mleko w swojéj świéżéj i pierwotnéj jakości do stolicy. Nawet odleglejsze miasta idą za przykładem okolicy Essex, a tak można się spodziewać zupełnéj zmiany nietylko ceny lecz i jakości tego towaru; bo gdy raz kolej żelazna między okolicami pastewnémi a Londynem, prawdziwą drogą mléczną się stanie, tedy ubędzie wszelkiéj pokusy urabiania mleka sztucznego, a nawet handlarze mlékiem, będą musieli zostawić fabrykacyję tego artykułu naturalnym jego wyrobnikom, to jest — krowom.«

Niebezpieczna próba. Pewien małżonek chciał się przekonać, jak też dalece poświęcenie się żony jego dlań posunąć się może. Przybrał więc posępną minę, a po wielu naleganiach małżonki oświadczył jéj, iż anioł śmierci przepowiedział mu we śnie blizką, bo już nazajutrz w nocy nastąpić mającą śmierć jego. »Za jedyny warunek zachowania mię przy życiu,« dodał małżonek, »położył anioł tę okoliczność, gdyby ktoś inny za mnie chciał umrzéć.« Małżonka, bądź uważając to za dziwactwo, bądź istotnie temu wierząc, uścisnęła męża serdecznie, i oświadczyła, iż chętnie zań umrze. Mąż opiérał się temu na pozór przez jakiś czas, a wreszcie przyjął ofiarę, i podług umowy, zamieniono łóżka na tę noc nieszczęśliwą. W nocy o saméj 12téj godzinie, odchylają się drzwi, i coś zlekka ku łożu mężowskiemu, w którém jednak tym razem małżonka spała, przybliżać się zaczyna. Z początku była biedna ofiara gotową umrzeć, lecz nieznacznie ocknęła się miłość do życia i ozwały się zcicha słowa od łoża: »Jest on tam w drugim pokoju.« O ile owe tajemnicze stąpanie się zbliżało, o tyle częściej i wyraźniej powtarzała żona te słowa, a wreszcie zaczęła tak głośno krzyczeć, iż mąż ze śmiéchem z drugiego pokoju wyszedł, i zapaliwszy świécę, zamiast mniemanego ducha, pokazał jéj koguta, który idąc za śladem rozsypanego po posadzce owsa, ku jéj łożu się zbliżał.

Dowcipna wymówka. Niedawno temu przytrzymano obcego strzelca w lesie, gdzie nie wolno było polować, i wzięto go pod areszt. Na zadane sobie przestępstwo bezprawnego polowania w cudzym lesie, odpowiedział oskarzony, iż nie miał wcale zamiaru polować na zwierzynę, a gdy go zapytano: »Po cożeś tam z nabitą strzelbą przyszedł?« — »Poco, otooto — chciałem się zastrzelić, ale gdym się ku temu zabiérał, schwytano mię, i nie dopuszczono uczynku.« Sędziowie nie wiedzieli co na to odpowiedzieć, i po długich upomnieniach, których on z największą skruchą słuchał — puścili go na wolność.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.